

### 3

## LIBERUM CONSPIRO

Chyba nigdy w historii Polskich Kolei Państwowych tylu chętnych nie przypadało na jeden wagon jak latem 1945 roku.

Szturm rozpoczynał się zanim pociąg stanął. Podczas gdy w drzwiach pulmanów odbywały się tak zwane dantejskie sceny, przez okna wrzucano walizki, podawano dzieci, a bardziej przedsiębiorczy podróżni wzajemnie się podsadzali i wciągali. Tu często dochodziło do zabawnych momentów, na przykład gdy niewysportowana osoba, zwykle kobieta w średnim wieku, wpychana przez okno zawisała brzuchem na parapecie i bezradnie wierzgała nogami. Czasem nie wszystkim udało się wcisnąć, co zwykle oznaczało nocowanie na stacji pomimo zapewnień kolejarzy, że wkrótce będzie podstawiony dodatkowy pociąg.

Dantejskie sceny wewnątrz wagonów cechował niemal absolutny bezruch. Aby się przepchać do WC, trzeba było walczyć o każdy centymetr drogi. Ubikacje często były zajęte przez pasażerów, którzy tam wypoczywali; należało ich wpierw wyprosić. Jazda ciągnęła się w nieskończoność. Transporty wojskowe miały pierwszeństwo. Pociągi jechały wolno, a stały długo.

Niejedyn podróżujący, mijając swą rodzinną wieś, aby zaoszczędzić czasu i nóg, pociągał za hamulec i wysiadał. Zwłaszcza nocą pociąg coraz to przystawał wśród pól i lasów, a ciemne sylwetki odrywały się od wagonów.

W miarę upływu godzin ludzie słabli, nogi im miękły, zwisali na sobie wzajemnie i robiło się jeszcze ciaśniej. O przeciśnięciu się do ubikacji z dziećmi nie było mowy. Gdy pociąg stał, podawano je górą pod sufitem do okien i tam wysadzano. Widziałem jak mały chłopczyk nie wytrzymał i wysiusiał się na głowy stojących. Śmiali się wszyscy z wyjątkiem tych, którzy zostali zmoczeni. Raz mężczyzna oparty o mnie plecami dostał torsji w samym środku wagonu.

Widywało się ludzi podróżujących na dachach wagonów. Jeździłem wprawdzie często na buforach, ale dach uważałem za miejsce zbyt niebezpieczne.

Kiedyś jednak, nie mając innego wyboru, jak nocować w poczekalni dworcowej, odważyłem się, i odtąd, póki było ciepło, nawet nie myślałem pchać się do środka, chyba że deszcz padał. Z walizką i plecakiem wdrapałem się po wąskiej drabince umocowanej

na tylnej ścianie wagonu, nad buforami. Dach okazał się znacznie szerszy niż wydawał się z peronu. Moje obawy, że pęd powietrza może zdmuchnąć człowieka pod koła, okazały się nieuzasadnione. Dla bezpieczeństwa należało jednak przestrzegać paru podstawowych reguł. Nie wstawać w czasie biegu pociągu, zwłaszcza gdy zwalniał, bowiem hamulce były zdarte, chwytaly i puszczały, a wtedy szarpało wagonami. Uważać na zerwane, zwisające przewody telefoniczne i elektryczne. Aby je w porę zobaczyć, należało siedzieć z twarzą zwróconą w kierunku ruchu pociągu. Najlepiej było usadowić się w tyle, z dala od parowozu, ze względu na dym i iskry, które i tak wiatr zwykle zwiewał na bok. Ci z przodu pierwsi widzieli zwisające kable i ostrzegali innych.

Za dnia rozpościerał się widok pól i lasów, bez porównania bardziej malowniczy niż z okien wagonu. Nocą nad głowami świeciły nieruchome gwiazdy, a czerwone iskry coraz to buchały z komina i mknęły wstecz.

Ilekroć pociąg zatrzymywał się na stacji, z dołu spoglądano na nas z podziwem; między dachem a peronem wymieniano uwagi na temat warunków podróży, niemniej chętnych dojazdy na wagonach było bardzo niewiele. Rzadko kiedy spotykało się nowicjusza. Kolejarze także na ogół odnosili się z uznaniem do dachowiczów i nie przypominam sobie, żeby mnie kiedykolwiek spędzono na dół. Zdarzało się, że nawet nas ostrzegali przed złośliwym naczelnikiem stacji. Wtedy zawczasu schodziliśmy na bufory, aby później, w odpowiednim momencie, wrócić na dach.

Pasażerowie dzielili się wiedzą na temat niebezpiecznych miejsc, tunelów, niskich wiaduktów. Opowiadano o drewnianym, prowizorycznym, chwiejącym się moście pod Bydgoszczą, gdzie pociąg tak zwalnia, iż ledwo się posuwa, a maszynista i palacz stoją w drzwiach lokomotywy gotowi pierwsi skakać do wody. Czas mijał szybko i przyjemnie. Rozmawiało się, żartowało.

Najgorsze były noce, zwłaszcza przedświt. Całą siłą woli walczyłem z sennością, aby nie spaść pod koła. Przywiązałbym się sznurem, gdyby było do czego. Nie każdemu dokuczał brak snu.

Kiedyś chłop wdrapał się na dach z workiem na plecach, a w nim żywy prosiak, oczywiście ze spętanymi nogami i ryjem obwiązany drutem. Chłop głowę położył na worek i zaraz zasnął. Nie wiem, czy to była prawda, ale mówiono, że jeśli się świni okręciło ryj drutem kolczastym, delikatnie, tak aby nie zranił a tylko lekko ugniatał skórę, to ani kwiknęła. Tę metodę podobno stosowali

szmuglerzy w czasie okupacji. Byli i tacy, co ledwo weszli na dach, zaraz się kładli, prosząc przed zaśnięciem, żeby ich obudzić na wskazanej stacji. Jedne dachy były płaskie, inne miały pośrodku podwyższenie na całej długości wagonu. Na tych ostatnich wygodniej się siedziało, za to nie nadawały się do spania.

Raz tylko byłem świadkiem wypadku. Pociąg prawie że już stanął, starsza kobiecina i krzepki mężczyzna podnieśli się, gdy nagle lokomotywa szarpnęła i oboje spadli. Worek kartofli poleciał za nimi. Kobiecina szybko się poderwała i poszła, a mężczyzna leżał. Zszedłem na dół zobaczyć, co się stało. Obcięło mu czubek buta i palce u nogi. Posypały się uwagi, że baba jak kot, zawsze padnie na cztery łapy.

Jeśli kogoś zaciekawia, czy można było jeździć na gapę i bez łapówki - powiem, że raczej trudno. Kontrola była dość ścisła. Do tego uzbrojona Służba Ochrony Kolei pilnowała, aby nikt z boku wzdłuż torów nie wślizgnął się na peron i nie wyslizgnął. Wewnątrz pociągu też sprawdzano w miarę możliwości, a zwłaszcza na buforach, gdzie dostęp był łatwiejszy, ale na wagon konduktorzy nie wchodziłi. Raz tylko, gdy jechałem kolejką wąskotorową z ulicy Grochowskiej na Pradze w kierunku Otwocka, cały tłum wdrapał się na dach, oczywiście bez biletów. Konduktor też wszedł za nami. Nie można było zeskoczyć na ziemię w biegu pociągu i musieliśmy zapłacić więcej niż w kasie.

Ta krótka podróż utkwiała mi w pamięci także z innych powodów. Jeden z pasażerów był pijany, klócił się, chybotał na nogach i baliśmy się, że nas postrąca. Do tego kable zwisały tak nisko, że trzeba było kłaść się plackiem.

Nie mając pieniędzy na kupno biletu, zgłosiłem się w Warszawie jako ochotnik na osiedlenie w Szczecinie i dostałem zaświadczenie na darmowy przejazd. W Szczecinie, jako kandydatowi na osadnika, przysługiwało mi przez trzy dni wyżywienie i zakwaterowanie na ogólnej sali. W ciągu tego czasu miałem sobie znaleźć pracę i własny kąt. Wystarczyło mi tych trzech dni, aby zorientować się, że nie tędy wiedzie droga ucieczki na Zachód do Anglików, ale było już za późno na powrót do centralnej Polski. Sowiecki komendant zakazał samowolnego opuszczania miasta.

Już o świcie ustawiała się kolejka przed biurem przepustek. Z opóźnieniem nieraz dwugodzinnym przychodzili dwaj oficerowie, jeden w sowieckim, drugi w polskim mundurze, i zaczynało się urzędowanie. W ogonku, który ledwo się posuwał, mówiono że

NKWD szuka szpiegów. Coraz to kogoś uprzywilejowanego wprowadzano do środka przed nosami czekających od wielu godzin. Popracowawszy nieco, oficerowie wychodzili na papierosa. Około południa zaczynała się dłuższa przerwa obiadowa. Pokręciwszy się jakiś czas koło wejścia, dałem za wygraną. Straciwszy swe łóżko na sali ogólnej, przeprowadziłem się na strych domu noclegowego, gdzie wszystkie szyby były wybite. Pierwszej nocy przyszło mi spać na twardej podłodze. Coraz to budziłem się z zimna. Następnego wieczora przewróciłem szafę, wyrwałem jedno z dwojga drzwi z zawiasów, położyłem się w środku szafy, i zakryłem powstały otwór drzwiami, zostawiając na wysokości twarzy szeroką szparę do oddychania. W ten sposób w ciepłe własnego ciała przespałem kilka nocy. W czasie gdy przysługiwał mi darmowy wikt, dostałem jednorazowy przydział słodkiej marmolady burakowej, którą wlawszy do dzbanka, ukryłem w odległych ruinach wypalonego domu. Gdy przydział żywności skończył się, zachodziłem kilka razy dziennie z zachowaniem ostrożności, aby mnie kto nie wyśledził, i posilałem się kilku łyżkami marmolady. Po dwóch dniach dzbanek zniknął, pomimo iż go schowałem w ciemnym zakamarku piwnicy. Raz widząc, jak ktoś zażerał się kiełbasą, doświadczyłem „wizji”, że uderzam go pałką w głowę i zabieram kiełbasę. Podobne „wizje” powtarzały się. Wstyd mi było żebrać, a do pracy nie było po co iść. Wciąż myślałem o jedzeniu. Tymczasem „blokada” Szczecina nadal trwała. Po mieście snuli się nieliczni wychudzeni Niemcy, zdrowszych wojsko łapało do robót. Złapali i mnie, ale natychmiast wypuścili jako Polaka. Przypomniało mi to, że należę do zwycięzców. Chodzenie po ówczesnym Szczecinie szybko przeradzało się w błądzenie. Śródmieście składało się jakby z wielu bezludnych, wypalonych, gwiazdzistych placów. W drodze powrotnej „do domu” wystarczyło wejść w niewłaściwe ramię gwiazdy, aby wyjść na nową gwiazdę, gdzie się jeszcze nie było, a zawracając znowu się pomylić.

Kiedyś idąc ze współlokatorem domu noclegowego rozmawialiśmy na temat bieżących bolączek, o wyżywieniu, pracy, znalezieniu wspólnej kwatery, gdy nagle zawołał... „Popatrz, popatrz”. Po drugiej stronie ulicy zbliżała się dziewczyna w czerwonej spódnicy. Zostawił mnie, pobiegł za nią i tyle go widziałem.

Raz poszedłem w kierunku rzeki, aby zorientować się co do możliwości przeprawy na wschodni brzeg. Wśród płaskich ruin, od których wiało spalenizną, na niskim murku po zwalonym domu zobaczyłem kawałek kiełbasy. Leżał tuż obok mnie w pełnym blasku

słońca. Tysiąc myśli jednocześnie przebiegało mi przez głowę. Kto i w jakim celu tu ją położył? A może zatruta? Żeby otruć kogo? Mnie? Taniej było zastrzelić człowieka. Im więcej zastanawiałem się, tym mniej rozumiałem. Rozejrzałem się kilka razy dokoła. Nasłuchiwałem. Nie było żadnego znaku życia na tym pustkowiu, pośród morza zgliszcz.

Powąchałem kielbasę... może nie była tak zupełnie świeża, ale nie śmierdziała. Ugryzłem kawałek, posmakowałem, pozułem i połknąłem. Ugryzłem drugi kawałek, pozułem, poczułem dziwny smak i szybko wyplułem. Położyłem kielbasę na murku i poszedłem dalej. Zaledwie skręciłem za najbliższy róg, opadły mnie wątpliwości. Ależ głupiec ze mnie, trzeba było ją wziąć. Jeśli zatruta, wkrótce i tak się dowiem, jeśli dobra - zjem resztę później. Zawróciłem do murku, kielbasy nie było.

Zgłosiłem się do odpowiedniego biura po przepustkę i darmowy przejazd do Kielc, aby sprowadzić rodzinę. Mój ojczym był lekarzem, a lekarzy bardzo brakowało, więc dostałem odpowiednie papierki i ruszyłem w drogę z powrotem do centralnej Polski.

Raz na Opolszczyźnie ściągnięto mnie z buforów za to, że nie jechałem do celu najkrótszą drogą. Tym razem na nic nie przydała się elokwencja. Mój wynędzniały wygląd musiał jeszcze bardziej rozdrażniać odpasionego i wymuskanego bruneta, zawiadowcę małej stacji. Z udaną pokorą wysłuchiwałem perory na temat „my tu ciężko pracujemy, poświęcamy się, a wy...” itd, itp.

- Nie wyglądałbyś tak dobrze, gdybyś nie kradł i nie objął się - pomyślałem sobie.

W końcu, pomimo moich usilnych próśb, że nie stać mnie na kupno biletu, zabrał mi zaświadczenie i kazał zgłosić się do swego biura. Zwykle w podobnych sytuacjach nie unikałem konfrontacji, tym razem jednak uznałem, że nic nie wskóram i pozostałem na buforach, aż pociąg ruszył w dalszą drogę. Towarzysze podróży byli wprawdzie pełni uznania dla mego stoickiego spokoju, niemniej wyrazili troskę o moje dalsze losy, gdy następną kontrola złapie mnie, tym razem bez żadnego dokumentu podróży. Wówczas wyjąłem z kieszeni identyczny papier jak ten, który mi skonfiskowano, czym pobudziłem wszystkich do śmiechu. Zawiadowcy przedstawiłem kopię. Normalnie dawano tylko oryginał, ale jeśli powiodło się dostać jedno i drugie, można było dwa razy próbować przejechać trasę, za pierwszym razem posługując się kopią.

Nigdy tyle się nie napatrzyłem Polski co tego lata z dachu wagonów. Nie mając ani stałego miejsca zamieszkania, ani pieniędzy, wychudłem i osłabłem. Przejeżdżając przez Wielkopolskę postanowiłem więc skorzystać z okazji i odszukać znajomych z Warszawy, którzy obecnie zamieszkiwali na wsi. Po drodze dowiedziałem się o pierwszej amerykańskiej bombie atomowej.

Ostrów, węzłowa stacja, dziesiątki torów. Duże miasto nietknięte wojną. Zasięgnąłem języka, którędy iść. Ostatnie domy pozostały w tyle. Po obu stronach wyrosły łąny zboża. Ani ust do kogo otworzyć. Cisza taka, że aż w uszach dzwoniło po całodziennym przysłuchiwaniu się stukotowi kół i sapaniu parowozu. Polną drogą szedłem ponad godzinę, zanim ukazały się pierwsze opłotki wsi. Wkrótce witałem się z całą rodziną znajomych. Dotąd nie wiedzieli, że żyję.

Mieszkali w drewnianej chałupie, której ściany były od wewnątrz wyłożone trzcina powiązaną drutem i pokrytą tynkiem. Parę dni przed moim przyjazdem, w czasie obiadu, nim pierwsze krople deszczu spadły, w chatę uderzył piorun. Iskra przebiegła od dachu ścianą niemal do podłogi, zawróciła do sufitu, zakręciła się w powietrzu i wypadła oknem. Rozszedł się swąd spalenizny. Wzdłuż drogi pioruna po drucie tynk odłupało, a trzcinę nadpaliło, jakby przeciągnął rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem. Słyszałem wiele opowiadań o podobnych zdarzeniach, ale tylko raz w życiu, wtedy właśnie, zobaczyłem to na własne oczy. Gdybym był przesądny jak starożytni Grecy i Rzymianie, wziąłbym to za zapowiedź niezwykłych wydarzeń lub ostrzeżenie.

Po tygodniu, odespany i odżywiony, ale śmiertelnie znudzony, wybrałem się na spacer do Ostrowa, aby odszukać kolegę z Warszawy. Odnalazłszy go, postanowiłem przenieść się ze wsi do miasta, gdzie życie było ciekawsze. Podziękowałem serdecznie za gościnę i, nie powiadamiając gospodarzy o moich prawdziwych planach, oświadczyłem, że jadę dalej do centralnej Polski, a w rzeczywistości zamieszkałem u kolegi, który już był dobrze zadomowiony w Ostrowie.

Wkrótce natknąłem się na Baškę i Lidkę, znajome łączniczki z NSZ (Narodowych Sił Zbrojnych). Wyjawiłem im tajemnicę o nieudanej ucieczce na Zachód w nadziei, że mi pomogą spróbować jeszcze raz. Właściwie ucieczka udała się, ale gdy dotarłem do linii demarkacyjnej na wschód od Pilzna, Amerykanie wydali mnie w ręce czeskiej policji. Dziewczyny miały kontakty z podziemiem i

oczekiwały przybycia łącznika od Andersa z Włoch. Przedstawiły mnie podporucznikowi byłej Armii Krajowej o pseudonimie Błysk, który z kolei miał mnie skontaktować z łącznikiem.

Rodzina kolegi wróciła wcześniej niż oczekiwaliśmy, więc aby nie krępować ich swoją obecnością, przyjąłem zaproszenie Błyska i przeniósłem się do wsi Jaskółki, gdzie mieszkali jego rodzice i młodsze rodzeństwo. Okupacja skończyła się pół roku temu, niemieckie napisy drogowe pousuwano, ale sami mieszkańcy z przyzwyczajenia używali czasem nazwy Schwalbenau.

U Błyska, którego prawdziwe nazwisko było Jan Kempieński, miałem przeczekać do przyjazdu łącznika. Przedstawił mnie swojej rodzinie jako kolegę z partyzantki. Nikt się o nic nie pytał. Nie często widzi się tak uderzające podobieństwo fizyczne wszystkich dzieci. Prezentowali się zdrowo i dorodnie. Piwne oczy przy jasnych włosach oraz orle nosy po ojcu. Błysk był szczupły, wysoki, wyróżniał się małą głową. Miejsca w chałupie nie zbywało, więc zrazu dzieliłem pokój z podporucznikiem, który stanowczo nie zgodził się, abym spał na podłodze na materacu, ustąpił mi swego łóżka, a sam przeniósł się na podłogę. Jak się z czasem przekonałem, koleżeńskość i optymizm były jego największymi zaletami. Po kilku dniach przeprowadziłem się ze spaniem do stodoły na siano, gdzie nie czułem się skrępowany.

Cała rodzina odnosiła się do Błyska z wielkim uważaniem, włączając jego ojca, który nie wyglądał na takiego, co da sobie w kaszę dmuchać.

Powiedzenie „wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi” nigdzie tak się nie sprawdza jak na wsi. Wkrótce ludzie zauważyli, że obcy zamieszkał u Kempieńskich. Wobec tego Błysk zasugerował, abym się zameldował w urzędzie gminnym, na co w zasadzie przystałem, ale na szczęście jakiś przypadek stanął temu na przeszkodzie, a potem rozmyśliłem się. Rano, po śniadaniu, sam lub z Blyskiem szedłem do Ostrowa, gdzie poznawałem coraz więcej osób i wyżywałem się towarzysko. Na noc wracałem do stodoły. Oczekiwany łącznik od Andersa nie przyjeżdżał.

Obecnie może wydawać się niezrozumiałe, dlaczego tylu ludzi ludziło się, że zdołają obalić narzucony komunistyczny rząd podtrzymywany przez Armię Czerwoną. Otóż powszechnie uważano, że Stany Zjednoczone wezmą się za Rosję, jak tylko załatwią się z Japonią. W sierpniu 1945 roku Amerykanie nie tylko że mieli ręce

wolne, ale i posiadali taką broń, iż samą groźbą jej użycia mogli wymusić na Rosji jak najdalej idące ustępstwa.

Burmistrzem Ostrowa był niejaki Siuda. Niemal każdego dnia coś się o nim usłyszało lub przeczytało w miejscowej gazecie. Za dnia dwoił się i troił wygłaszając wiernopoddańcze przemówienia, wznosząc okrzyki na cześć Stalina, oskarżając Armię Krajową o współpracę z niemieckim okupantem. Słowa: zdrajcy, kolaboranci, faszyci nie schodziły mu z ust. Nocą - mówiono - razem z bezpieczeńką układał listy tych, co mieli być aresztowani.

Pewnego dnia Błysk spytał mnie, czy nie miałbym ochoty wziąć udziału w akcji karnej przeciwko Siudzie. Z uwagi na gościnność Błyska nie wypadało mi odmówić, choć wcale się do tego nie paliłem.

Siuda mieszkał na skraju miasta w dzielnicy willowej z dużą ilością ogrodów i sadów. Plan polegał na tym, aby wejść do niego późnym wieczorem, nie od frontu, ale od tyłu, od ogrodu, tędy bowiem, po ciemku, przychodzili ubowcy na narady.

Wyrok - pięćdziesiąt kijów.

O oznaczonej godzinie ruszyliśmy w drogę, poza nami dwoma jeszcze trzech chłopaków z okolicznych wsi. Mieliśmy rewolwery i pistolet maszynowy - szmajser. Dostałem szmajser, bo łatwo go było ukryć pod szerokim luźnym płaszczem, który wyszabrowałem po jakimś Niemcu grubasie na Ziemiach Odzyskanych.

Korzystając z tego, że szliśmy pustkowiec, Błysk najpierw podał nam dokładnie brzmienie wyroku, a potem kazał jednemu z chłopaków powtarzać słowo w słowo, dopóki nie wyrecytował bezbłędnie. Dopiero na przedpolu Ostrowa zauważyliśmy brak kija, bez którego cała wyprawa mijała się z celem. Za daleko było wracać do lasu. Błysk idąc podnosił z ziemi gałęzie, patyki, próbował ich mocy w rękę i na kolanie, aż znalazł taki, co się nie złamał.

Ciemno było w dzielnicy willowej. Tu i ówdzie przez gąszcz liści przebijało mdłe światło. Błysk wskazał mi domek Siudy. Miałem wejść sam, zastukać do drzwi, wywabić Siudę, wciągnąć go w rozmowę, a wtedy inni dołączą do mnie. Oddałem szmajser, włożyłem do kieszeni parabellum.

Stukałem z ciężkim sercem. Plan wydawał mi się zrobiony na kolanie. Prościej byłoby, zostawiwszy jednego na obstawie, wtargnąć we cztery do środka, jak tylko drzwi się otworzą, postawić domowników twarzą do ściany i od razu zabrać się do burmistrza, zamiast wdawać się w konwersację.

Drzwi uchylły się.



- Czy mogę rozmawiać z panem Siudą? - spytałem.
- Pan się pomylił, Siuda tutaj nie mieszka.

Na moją prośbę gospodarz wyszedł na zewnątrz i wskazał mi dom w pobliżu.

W ciemności odbyliśmy krótką naradę. Błysk uważał, że się nic nie wydało i że na pewno wzięli mnie za ubowca. Tak samo jak i poprzednio, Błysk z jednym z chłopaków stanęli przy furtce jako obstawa, a dwóch, jak tylko Siuda się ukaże, miało dołączyć do mnie i wykonać wyrok.

Przeszedłem ogródkiem i zapukałem do drzwi oszklonej werandy. Wewnątrz błysnęło światło i kobieta w średnim wieku otworzyła drzwi.

- Czy zastałem pana Siudę?

Obróciła się w głąb domu i zawołała go po imieniu. Ukazał się sam Siuda, mężczyzna tłustawy, dość niski i też w średnim wieku.

- Dobry wieczór - powiedziałem - tu jacyś dwaj panowie chcą z panem porozmawiać.

Odwróciłem się w kierunku ogródka gestem ręki zachęcając obu kolegów, aby się zbliżyli.

- O, właśnie ci panowie... - wskazałem ręką w ciemność – chcą z panem rozmawiać.

Nigdy nie brałem udziału w takiej robocie i oczekiwałem, że Błysk się ukaże i obejmie komendę. Ani na chwilę nie opuszczała mnie myśl, że zaplątałem się w to najzupełniej niepotrzebnie.

Chłopaki ruszyli z ociąganiem, weszli na werandę i zaczęli się niefrasobliwie rozglądać.

- Ładnie się tu panu mieszka... bardzo dobre życie ... bardzo tu ładnie, panie Siuda...

Jakby im zabrakło śmiałości z miejsca przystąpić do sedna sprawy. Wszystkiego bym się spodziewał, tylko nie takiej sceny. Nieznacznym ruchem wsunąłem rękę do kieszeni i objąłem rękojęść parabellum.

- Ładne meble... bardzo dobre życie... bardzo dobre...

Wtem Siuda zawołał okropnym głosem:

- Chłopcy!... ja wiem kto wy jesteście - i padł na kolana. Wyjęliśmy rewolwery. Podczołgał się do mnie, objął za nogi i brał się do całowania mych butów. Cofnąłem się. Nigdy nie widziałem człowieka w takim stanie.

Błysk wpadł do środka zobaczyć, co się dzieje. Klęczącemu burmistrzowi zdjął z ręki zegarek i wybiegł na ulicę. Wciąż kręcił się

po mieście i słusznie obawiał się, że łatwo go było rozpoznać. Przemknęło mi przez głowę zabrać Siudzie ubranie z dobrego materiału, które miał na sobie, ale wypadki potoczyły się szybko.

- Wstawaj i spuszczaaj portki - rozkazał jeden z chłopaków i sięgnął po kij.

Siuda podniósł się z klęczek i raźno wypełnił polecenie. Błysk radości czy ulgi przemknął mu po twarzy. Zrozumiał, że nie będzie zastrzelony.

Jeden z chłopaków wyrecytował słowa wyroku prawie tak jak go Błysk wyuczył, tyle że krócej. Dokładnie nie pamiętam.

- W imieniu Polski... za zdradę... zostałeś skazany na pięćdziesiąt kijów na dupę. Jak się nie poprawisz to znowu przyjdziemy. Wypnij się!

Siuda aż stękał pod razami. Po kilku uderzeniach kawałek kija odłamał się, a potem jeszcze jeden kawałek i jeszcze jeden. Nim doszło do trzydziestu, pozostał taki krótki kikut, że nie można było nabrać dobrego rozmachu.

Tymczasem wewnątrz domu kobiety miały się, krzyczały, zanosiły się płaczem. Burmistrz musiał mieć telefon, mogły już zadzwonić na komendę wojskową. Mogły do nas strzelić. Wybiegliśmy nie wykonawszy wyroku w całości.

W drodze powrotnej Błysk kazał mi iść pierwszemu, z parabellum w kieszeni, aby nie dać się zaskoczyć całą grupą. Gdyby zatrzymał mnie patrol, miałem paść na ziemię a oni otworzyć ogień ze szmajsera i rewolwerów.

Kilku napotkanych w ciemności przechodniów Błysk krótko poinformował o tym, co zaszło. Jeden z chłopaków odłączył się i poszedł do domu. Błysk jednak zamiast wracać do Jaskótek, postanowił po drodze wykonać wyrok śmierci na szpiegu, który też mieszkał na przedmieściu, ale z innej strony Ostrowa. Jego nazwisko zaczynało się na K., kończyło na -ski czy -cki - powiedzmy, że było mu Kwapiszewski. Odradzałem argumentując, że sowiecka komenda wojskowa i policja już są na pewno zaalarmowane, poza tym godzina była późna i łatwo zwrócić na siebie uwagę. Błysk jednak nie dał się przekonać i przedłożył następujący plan akcji: przed domem szpiega on podniesie rwetes, że złapał złodzieja, którym miał być jeden z nas. Szpieg, obudzony, albo sam wyjdzie na zewnątrz, aby pomóc przy aresztowaniu przestępcy, albo zaintrygowany hałasem stanie w oknie i wtedy go się zastrzeli.

Po dłuższym marszu polem weszliśmy na szeroką aleję wysadzoną stuletnimi drzewami. W dużej odległości od siebie stały latarnie, rzucając wątłe sinozielonkawe światło - zaciemnienie z czasu wojny.

Błysk wyznaczył mnie i jeszcze jednego do obstawy od ulicy, a sam w towarzystwie „złodzieja” wszedł na podwórze i zniknął w ciemnościach.

Ukryłem szmajser pod jesionką i stanąłem za grubym pniem. Panowała zupełna cisza, z rzadka ktoś przeszedł ulicą nie zwracając uwagi, a może wcale mnie nie dostrzegając. Zastanawiałem się, co robić jeśli będzie to ktoś w mundurze i uzbrojony. Strzelić, przepuścić, próbować rozbroić? A jeśli strzelać, to kiedy - gdy obejrzy się, przystanie, gdy sięgnie do kabury... A jeśli nadjedzie auto wojskowe i zatrzyma się, dostrzegłszy w blasku reflektorów człowieka kryjącego się za drzewem? Należało to brać pod uwagę, gdyż tędy biegła główna droga do centralnej Polski. Dlatego tak się niecierpliwiłem.

Obok willi szpiega błysnęło światło latarki, jasny krążek przesunął się po murze. Mój partner od obstawy miał stać o kilkadziesiąt kroków, więc nie mogliśmy się naradzić w razie niebezpieczeństwa. Zresztą widać było po nim, jak się bał. Ci dwaj zaś, którzy ze mną weszli do Siudy, zapowiadali się na dobrych żołnierzy.

Wtem usłyszałem krzyk Błyska:

- Ty złodzieju... ty łobuzie... ty złodzieju... ja ci dam!

Powtórzył to kilka razy, aż w domu obok zapaliło się światło.

- Proszę mi poświecić! - zawołał Błysk - może poznam tego łobuza.

Ktoś wychylił się z okna..., ktoś wyszedł na podwórze. Oczekiwałem strzałów.

- Panie Kwapiszewski, niech mi pan poświeci... temu złodziejowi w twarz.

- Kwapiszewski? - odezwał się inny głos.

- Kwapiszewski tu nie mieszka.

Z dalszej rozmowy wynikało, że scena łapania złodzieja została odegrana pod numerem trzynastym, podczas gdy szpieg mieszkał pod jedenastym (czy na odwrót). Oba domy dzieliło może pięćdziesiąt metrów. Rozmowa przesunęła się ze złodzieja na Kwapiszewskiego. Głosy przycichły i Błysk wraz ze „złodziejem” wyszli na ulicę. Wkrótce światło w oknach zgasło.

Myślałem, że już teraz pójdziemy do domu. Błysk jednak postanowił spróbować szczęścia jeszcze raz. Spodziewałem się najgorszego, włącznie z samochodem pancernym - przecież kto jak kto, ale szpieg miał na pewno telefon, jeśli nie przenośną stację nadawczą.

Minął może kwadrans, może dwa - Błysk ze złodziejem weszli na podwórko właściwego domu. Chłopak, który razem ze mną stanowił obstawę, zniknął. Ja nie miałem gdzie uciekać jak tylko do Jaskółek, a nawet drogi nie znałem. Ale dokąd iść, jeśli Błysk zginie. Do lasu? Przecież nie mogłem kręcić się po mieście do wschodu słońca lub pójść na stację i od razu podpaść. Ciszę nocną rozdarło wołanie:

- Ty złodzieju... Ty łobuzie... Ja ci dam...

Światło w willi szpiega nie zapaliło się. Miałem nadzieję, że go nie ma w domu. Rwetes na podwórzu jeszcze się nasilił. Błysk nie dawał za wygraną.

- Panie Kwapiszewski, niech pan poświeci, złapałem złodzieja...

Rozległa się eksplozja granatu. Błysk ze „złodziejem” wypadli na ulicę i w trójkę rzuciliśmy się do ucieczki. Biegiem przez kartoflisko, przez nasyp kolejowy, a dalej już normalnym krokiem poszliśmy polem ku czerniejącej w oddali ścianie lasu.

Szpieg niepostrzeżenie uchylił okno na piętrze i rzucił na nich granat. W porę zauważyli i zdążyli odskoczyć, nim wybuchł. „Złodziej” odłączył się. Błysk skierował swe kroki ku samotnie stojącej w polu chacie. Zapukał, zapaliło się światło, młoda kobieta wyjrzała i poznawszy go wpuściła nas do środka. Błysk przedstawił mnie jako kolegę z Armii Krajowej, pokazał nasze uzbrojenie i opowiedział o akcji na Siudę. Widok takiej dekonspiracji zatrwożył mnie. Pomyślałem, że jeśli Amerykanie nie przyjdą prędko, wszystko zakończy się wielką wysypą i rozwałką.

Wypawszy się, umyty i ogolony, następnego dnia - a była to niedziela, udałem się razem z Blyskiem do Ostrowa. Potem, jak zwykle, każdy poszedł swoją drogą. Odwiedziłem znajomych, którym nic nie powiedziałem o swoim podwójnym życiu. Z miejsca zaskoczyli mnie pytaniem.

- Czy pan wie, co się stało tej nocy?

- Co?

Tu usłyszałem epopeję napadu na Siudę. Razem z kolegą wypuściliśmy się na miasto, odwiedzając jego znajomych. Siuda był

„bohaterem dnia”. O niczym innym nie mówiono. Wznoszono toasty, w których brałem żywy udział, za pomyślność „naszych chłopców”, tych co mu przetrzepali skórę. Wysłuchałem kilku wersji. Brzmiały podobnie. A miało to się odbyć następująco:

Nasi chłopcy (podawano liczbę czterech - pięciu) zaszli do Siudy nocą, udając ubowców. Siuda zaprosił ich na kolację. Kotlety, wódeczka, amerykańskie papierosy (menu opisane ze szczegółami). Jak sobie podjedli, popili, wypalili po camelu, wyciągnęli rewolwery, rodzinę pod ścianę, a do Siudy - spuszcza j portki.

Łącznik od Andersa miał przybyć lada dzień. Ostrzeżono Kępińskich, iż we wsi wiedzą, że ktoś nielegalnie, to znaczy bez zameldowania, u nich zamieszkał. Sołtys i paru chłopów sprzyjało obecnemu reżimowi czy nawet wręcz było komunistami. Wobec tego ograniczyłem do minimum spacery do Ostrowa; także z obawy, że członek rodziny Siudy mógł mnie rozpoznać. Ze spaniem przeniosłem się do stodoły już uprzednio, teraz całe dni spędzałem tam na górcie, rzadko schodząc na podwórze i to tylko, gdy domownicy dawali mi znać, że nie ma obcych. Wracałem do stodoły, gdy ktokolwiek zbliżał się do zagrody Kępińskich. Do mojej kwatery wchodziło się po drabinie. Jedzenie przynosiła mi zwykle dorosła siostra Błyska lub któreś z młodszego rodzeństwa. Mleko, twaróg, ser, chleb z masłem, kartoflanka, maślanka.

Górka stodoły pełna siana i słomy służyła także za podręczny arsenał. Domyślałem się, że gdzieś indziej musiało być schowane więcej. Z opowiadań Błyska zapamiętałem tylko, że był w AK na Lubelszczyźnie, po jej rozwiązaniu nie ujawnił się i broni nie złożył. Maturę i podchorążówkę ukończył w „lesie”. Sam przyznał, że egzaminatorzy unikali trudnych pytań.

W ten sposób, wbrew własnym intencjom, przeobraziłem się ze swobodnie poruszającego się, choć bezdomnego cywila, w żołnierza podziemia, zakwaterowanego na poddaszu łatwopalnej stodoły.

Nudziłem się straszliwie, godzinami leżąc na sianie. Dla rozrywki ciskałem patykami w olbrzymie pająki krzyżaki, zawieszzone pośrodku sieci, rzucałem im owady na pożarcie, celowałem do nich z parabellum i pstrykałem cynglem, by wyrobić pewną rękę. Przed wieczorem sprawałem rzeź pająkom, aby zapewnić sobie spokojniejszą noc. Sen miałem przerywany, robaczki ze świeżo skoszonego siana przechodziły na mnie. Budziłem się, gdy mi łąziły po twarzy. Opracowałem sobie plan obrony raczej z nudów, niż abym wierzył w rzeczywiste niebezpieczeństwo. W razie alarmu od razu

ukryć się na parterze pod sianem, nie odpowiadać na pojedyncze strzały, aż podejda, seria ze szmajsera, granaty i dopiero w nogi. Składałem i rozkładałem broń, aż mogłem to zrobić z zamkniętymi oczami. Celowałem z biodra do wyimaginowanych wrogów.

Przez otwór w podłodze górki i szerokie wrota stodoły widać było część podwórza. Razu pewnego pani Kempieńska szła do studni po wodę. Wycelowałem do niej z biodra nie naładowanym, jak mi się zdawało, parabellum i pstryknąłem cynglem. Padł strzał. Oblała mnie fala gorąca, szczęściem spudłowałem, kobieta szła dalej, niczego nie zauważyła. Następnego dnia stary Kempieński powiedział bez komentarza, że trafiłem w dyszel o metr od jego żony. Znowu mnie oblała fala gorąca, oczekiwałem, że mnie wyrzucą. Myślałem, że uczyni to osobiście Błysk, ale on tylko poradził mi, abym był szczególnie ostrożny z bronią, bo po wsi kręci się paru komunistów.

Zaczął dokuczać mi świerzb. Zwykle zaczyna się pomiędzy palcami rąk i stamtąd stopniowo rozprzestrzenia. Mnie od razu zaczęło swędzić prawie wszędzie. Wkrótce wyjaśniło się dlaczego. Jeden z członków rodziny mojego kolegi miał świerzb, a ja wykapałem się w wannie zaraz po tej osobie. Świąd nie ustawał ani na chwilę. Czochrałem się niemal bez przerwy. Rozmawiając opierałem się niby to nieumyślnie o kanciasty mebel tak, aby nieznacznymi ruchami skrobać ciało. To znowu będąc sam na poddaszu ćwiczyłem siłę woli usiłując jak najdłużej wstrzymać się od drapania, choć bez zegarka trudno było ocenić rezultaty. Pojawiło się coraz więcej wrzodziejących zadrapań, krost, czyraków.

Pewnego dnia Błysk oznajmił, że łącznik przyjechał. Z zapadnięciem ciemności wyruszyliśmy obaj w kierunku Ostrowa. Ominąwszy centrum miasta zatrzymaliśmy się przed domem stojącym pośród sadu. Wyszła nam na spotkanie kobieta w wieku średnim; Błysk po drodze powiedział mi, że jej trzech synów poległo walcząc z Niemcami. Mieszkała sama.

Łącznikiem z Włoch okazał się mężczyzna około dwudziestu pięciu lat. Naradzał się z Błyskiem na osobności, a potem we czwórkę rozmawialiśmy do późna w nocy. Z góry nie miałem wielkich nadziei i nie omyliłem się. Udzielił mi sporo informacji o sytuacji w Czechach, którądy wiódł jego szlak. Nie powiedziałem mu, że już tam byłem, a to co usłyszałem wydało mi się przesadnie optymistyczne i bezwartościowe dla moich celów.

Błysk wrócił do Jaskółek, ja zaś przenocowałem w pokoiku zawalonym jabłkami. Ich zapach najlepiej zapamiętałem z całego

spotkania. Gdy się obudziłem późnym rankiem, łącznika już nie było. A miałem nikłą nadzieję, że może dogadam się z nim w cztery oczy.

Z różnych uwag Błyska wywnioskowałem, że ma on swoich ludzi we władzach administracyjnych, w Służbie Obrony Kolei (SOK) i w miejscowym garnizonie wojska polskiego. Żołnierze czekali tylko odpowiedniego hasła - wieści o wybuchu wojny amerykańsko-sowieckiej, aby zdezerterować lub obrócić broń przeciw komunistom. Nie pytałem go o sprawy organizacyjne i może dlatego mówił mi więcej niż powinienem wiedzieć. Nigdy nie wspominał pseudonimu swojego dowódcy. Jakby nie miał żadnego. Raz zagadnąłem go o naszą przynależność konspiracyjną. Sądziłem, że się dostałem do NSZ. Błysk sprostował, że jesteśmy w Ruchu Oporu Armii Krajowej (w skrócie ROAK), o którym dotąd nie słyszałem.

Szykowało się odbicie ludzi uwięzionych w Urzędzie Bezpieczeństwa w Ostrowie. Wykonać je miał oddział z lasu wsparty grupą Błyska oraz SOK-iem. Akcja w planach była tak szeroko zakrojona, jakby chodziło o przejściowe opanowanie całego miasta. Zresztą jak inaczej można było odtransportować w bezpieczne miejsce uwolnionych więźniów? Wielu z nich, pobitych, ledwie było w stanie chodzić.

O oznaczonej godzinie grupa Błyska licząca kilkanaście osób zaległa w rowie u zbiegu dwóch szos na przedmieściu Ostrowa. Noc była ciemna i ciepła. Czasami ktoś przechodził, nie zwracając na nas uwagi. Miała nas zabrać ciężarówka z „lasu”. Przejechało ich kilka, gdy wreszcie zobaczyliśmy umówiony znak. Mrugnęła reflektorami trzy razy i przystanąła. Był to jeden z tych olbrzymów amerykańskiej produkcji. Ledwie wcisnęliśmy się do środka, tak było tłoczno. Partyzanci z lasu, uzbrojeni w pepesze, po większej części nosili mundury wojska polskiego. Ciężarówka zatrzymała się gdzieś w środku miasta i Błysk kazał mi wysiąść, abym obstawiał akcję - wskazał kierunek domu partii. Na samym narożniku znajdowało się wejście do sklepu, drzwi były cofnięte o pół metra. Wsunąłem się tam, bowiem mając zabezpieczone obie flanki, byłem praktycznie niewidoczny. Odbezpieczyłem szmajser. Samochód skręcił w lewo. Biama budynku UB była niedaleko.

Musiąło minąć parę minut, zanim rozległy się pierwsze strzały. Znaczyć to mogło tylko jedno, że zaskoczenie nie udało się. Strzały padały coraz gęściej. Usłyszałem warkot motoru i tupot wielu nóg. Wyjrzałem zza rogu w kierunku UB. Środkiem ulicy jechała wolno ciężarówka ze zgaszonymi reflektorami, a wokół niej biegł

obwieszony bronią tłum. Jedni wdrapywali się na platformę, ci, co już stali w środku, pomagali kolegom. Zawahałem się, czy wybiec z bezpiecznego ukrycia ciężarówce na spotkanie, czy czekać aż się zbliży. Gdy zakręcając obok narożnego sklepu, mijala mnie, tylna klapa była już podniesiona. Uchwyciłem się „burty” i usiłując wciągnąć się, zawisłem w powietrzu. Przeszkadzał mi zarzucony na szyję szmajser. Nie mogłem się wspiąć po ogromnym kole, które - choć bardzo wolno - ale jednak się obracało. Samochód zaczął przyspieszać i przeraziłem się, że zostanę sam w centrum miasta. Ale chwycili mnie pod pachy i wciągnęli do środka jako ostatniego. Miasto było zaciemnione jak w czasie wojny, jechaliśmy w sinozielonkawym świetle latarni. Gdzieś daleko za nami podniosła się szalona strzelanina.

Ciężarówka nagle zatrzymała się przed mostem ponad stacją kolejową. Za chwilę okazało się dlaczego. Dawny most wysadzili Niemcy, a w jego miejscu postawiono prowizoryczny, drewniany. Wyglądał jak niewykończony, bez poręczy. Wydawało się, że przeszedł nasz koniec. Szofer jednak ruszył naprzód, powoli, nie szybciej niż człowiek posuwałby się na czworakach. Most skrzypiał pod ogromnym ciężarem. Był tak wąski, że samochód zaledwie się mieścił, koła z wolna obracały się na samym skraju przepaści. Beładna strzelanina stawała się głośniejsza. W dole pod nami leżało węzowisko szyn. Jarzyły się i mrugały światełka lamp, semaforów, latarni; czerwone, zielone, żółte, białe.

Gdy tylko ciężarówka dotknęła ziemi, szofer dodał gazu. Wkrótce zniknęły ostatnie domy, znaleźliśmy się w szczerym polu. Noc była tak ciemna, że bez świateł ledwo dało się odróżnić szarą wstęgę szosy.

Jechaliśmy czas jakiś, gdy gdzieś daleko poza horyzontem wystrzeliły ku niebu smugi reflektorów. Zaraz zniknęły, ale wkrótce ukazały się nieco bliżej. Prywatnych samochodów jeszcze nie było, więc na pewno ktoś za nami gonął. Pofalowany teren utrudniał widoczność, zasłaniały nas wzgórza. Smugi reflektorów chwilami zupełnie znikały i zdawało się, że goniący zawrócili lub skręcili w boczną drogę, gdy nagle światła znowu wystrzeliwały w ciemne niebo poza nami, coraz bliżej i bliżej.

Stałem nieco w tyle otwartej platformy. Ktoś oparł mi na ramieniu karabin maszynowy. Stojący przy samej „burcie” wycelowali pistolety maszynowe. Od pościgu dzielił nas tylko jeden pagórek. Krzaki i drzewa na jego szczycie lśniły na tle czarnego nieba.



Nagle reflektory ukazały się na wzniesieniu i ostre światło zalało szosę. Ciężarówka rozbłysnęła ogniem, biły peemy, erkaemy, rewolwery... kto co miał. Reflektory zgasły.

Nie ujechaliśmy wiele, gdy rozległo się wołanie...

- Patrol po prawej!

Zionęło ogniem z prawej „burty”. Jeźdźcy podobno spadli z koni. Sam nie widziałem, bo stałem w środku i inni mi zasłaniali. Jeszcze parę minut jazdy i samochód przystanął. Oddział Błyska wysiadł, reszta pojechała dalej, do lasu.

Teraz dopiero, idąc gromadą przez pola, dowiedziałem się co zaszło w Ostrowie. Ciężarówka z zapalonymi światłami podjechała pod samą bramę budynku UB i partyzanci zaczęli zeskakiwać na ziemię na oczach wartownika, który stał na zewnątrz. Niektórzy byli w mundurach, niektórzy po cywilnemu, inni pół na pół, tak właśnie wyglądały jednostki UB na wyprawach w teren, więc wartownik wziął ich za swoich. Zamiast mu przystawić lufę do brzucha i rozbroić, wejść do bramy i z kolei rozbroić tych, co siedzieli w pokoju oficera służbowego, gdzie były klucze - strzelili do wartownika. Podobno cofnął się ku bramie, w każdym razie nie sięgnął po broń. Ubowcy pojawili się w oknach. Nasi wygarnęli do nich, ubowcy schowali się i strzelali na ślepo, wysuwając tylko lufy rewolwerów spoza parapetów okien. Pośród tego zamieszania tylko szofer nie stracił głowy, spokojnie zawrócił ciężarówkę, szybko odjechał od więzienia, zwolnił aż wszyscy go dogonili i załadowali się.

Później Błysk potwierdził wszystkie szczegóły. Nie wyjaśnione było tylko stanowisko SOK-u, jakoby nie dopisał. Mówiono też, że ci strażnicy kolejowi, którzy byli wtajemniczeni, zgłosili się w umówionym miejscu, ale z powodu natychmiastowego niepowodzenia rozeszli się do domów.

Coraz to ktoś odłączał się od naszej grupy, pojedynczo, po dwóch, po trzech, i wsiąkał w ciemność. Gdy weszliśmy na polną drogę zostało nas tylko paru. Dotarliśmy do małej wioski, ciemnej i wyludnionej. Nawet pies nie zaszczekał. Jej mieszkańcy, Niemcy, uciekli, gdy zbliżał się front. Nagle w oddali błysnęły światła samochodowych reflektorów. Po obu stronach znajdowały się wysokie płoty, sztachety były ścięte u wierzchołka na ostro. Za późno było zawracać. Wsparłem dłonie na czubkach sztachet i z najwyższym wysiłkiem wciągnąłem się na szczyt płotu. Szmajser mi zawadzał. Powinienem go najpierw przerzucić, ale trudno w takiej sytuacji, działając odruchowo, wypuścić broń z ręki. Wszyscy inni byli

już po drugiej stronie, nim ja się wygramoliłem. Odbiegliśmy w pole. Samochód przejechał nie zatrzymując się. Zdawało mi się, że mam krwawe rany na dłoniach od szpiczastych sztchet, okazało się, że tylko zadrapania. Doszliśmy do zagrody Kempieńskich bez dalszych przygód.

Czas spędzony w Jaskółkach dzieliłem pomiędzy stodołą, a domem mieszkalnym, gdzie sypiałem raz na kilka nocy, gdy mi robaki zbyt mocno dogryzły. Ktokolwiek by się nie zbliżał, chowałem się w stodole lub w pokoiku Błyska. Raz rozkładając szmajser musiałem coś przeoczyć, wypalił w podłogę. Wstyd mi się zrobiło, podawałem się za doświadczonego żołnierza, a to już drugi wypadek z bronią. Co gorsza, w tym momencie, o czym nie wiedziałem, na podwórzu ze starym Kempieńskim rozmawiał członek miejscowej rady gminnej, uważany za proreżymowego. Aż podskoczył na odgłos strzału, niezbyt zresztą głośnego z powodu zamkniętych okien. Kempieński uspokoił go, że to chłopcy szykują opał na zimę i gałąź im pod nogą trzasnęła. Jeśli przyszedł na przespiegi, jak podejrzewano, to nieoczekiwany strzał musiał mu nie lada strachu napędzić. Zbyt łatwo uwierzył w wytłumaczenie z gałęzią. Nie usłyszałem ani słowa nagany z powodu tego wypadku.

Błysk znowu zaproponował mi udział w akcji, w której miałem być głównym wykonawcą. Chodziło o obrabowanie banku znajdującego się w centrum miasta obok skweru, gdzie pochowano kilku rosyjskich żołnierzy. Napis głosił: „*Zdieś bratskaja mogiła sowieckich żołdat ubitych bandytami faszystami, wragami polskowo naroda*”. Już nie pamiętam, czy odnosiło się to wyłącznie do żołnierzy poległych przy odbieraniu Ostrowa z rąk Niemców, czy także w walce z polską partyzantką.

Obszedłem bank dookoła, nawet nie zajrzałem do środka, z góry wiedząc, że tej akcji się nie podejmę. Nie miałem wątpliwości, że skończyłoby się to dla mnie źle, gdyż wszystkie napady, w których brałem udział były fatalnie zorganizowane. Błysk przyjął moją odmowę obojętnie. Oświadczyłem mu też, że jadę na Dolny Śląsk, aby wy badać możliwości przedostania się przez Czechosłowację na Zachód. Wprawdzie łącznik miał wracać tą samą drogą i była możliwość spotkania się z nim jeszcze raz, jednakże czas naglił. Uważałem, że działanie Błyska zakończy się tragicznie. Wiadomości z zachodniego radia wskazywały, że wojna pomiędzy Ameryką a Rosją nie wybuchnie w najbliższych miesiącach. Nadchodziła jesień.

Przed świtem opuściłem stodołę i poszedłem prosto na dworzec. Choć był to ciepły ranek wrześnieowy, wepchnąłem się do zatłoczonego wnętrza wagonu. Na dachu zwracałbym na siebie uwagę.

\* \* \*

A oto dalsze losy oddziały Błyska według niesprawdzonych źródeł. W październiku nie powiódł się wypad na państwowe zakłady mleczarskie pod Ostrowem. Wewnątrz, w zasadzce czekała policja i gdy partyzanci podeszli od strony pola, otworzyła na nich ogień. Podobno straty wyniosły stu czy dwustu poległych, rannych i jeńców. W zagrodzie Kempieńskich odkryto magazyn broni. Dom, gdzie spotkałem łącznika z Włoch, otoczyła policja. Gospodyni nie dała się zaskoczyć. Ostrzeliwała się, aż padła pod kulami. Błysk uszedł z życiem, reszta jego oddziału została ponownie rozbita. Jakoby on sam, z jednym tylko łącznikiem przemykał się lasami przez długi czas, aż został złapany. Donosiły o tym gazety w 1946 roku. Okoliczności aresztowania Błyska były inne niż podała prasa. W Poznaniu na ulicy rozpoznał go i wydał porucznik milicji, któremu przed paroma miesiącami Błysk darował życie. W 1947 roku sąd wojskowy w Poznaniu skazał Błyska na karę śmierci. Prezydent Bierut nie skorzystał z prawa łaski.

Aż do śmierci Błyska żyłem w poczuciu stałego zagrożenia. Znał on mój pseudonim i oddział z powstania. Możliwe także, że słyszał moje nazwisko. O łączniczkach z NSZ wiedział znacznie więcej. Od nich już łatwo było trafić do mnie. Obu dziewczyn nigdy już nie spotkałem, ale miałem pewne informacje, że nie były aresztowane i przeżyły.

\* \* \*

Historycy o procesie sądowym i skazaniu na śmierć Błyska [źródło: Maria Turlejska *Te pokolenia żałobami czarne... Skazani na śmierć i ich sędziowie 1944-1954.*; Londyn, Aneks, 1989].

JAN KEMPIŃSKI, ur. 4 II 1921, student. Oskarżony o to, że w sierpniu 1944, będąc funkcjonariuszem MO w Lublinie, opuścił stanowisko służbowe i do chwili aresztowania (17 XII 1945) „należał do AK”. Nawiązał kontakt (VIII 1945) z inspektorem jednej z formacji AK- Wojsk. Samodz. Grupy Ochotniczej „Warta” - „Malkiem” i szefem tej organizacji, Andrzejem Rzewuskim. Kempieński został komendantem oddziału (pn. baon zmotoryzowany) na terenie pow. Ostrów, Jarocin, Krotoszyn. Oddział, określanany jako banda „Błyska”, dokonał na rozkaz „Malka” 12 operacji dywersyjnych od VIII do X

1945, napadów, rabunków, rozbrojeń. Oskarżony przyznał się do wszystkich czynów „z wyjątkiem dezercji z milicji”. Na rozkaz komendanta „Warty”, płk. Rzewuskiego, rozpuścił ludzi, a sam wyjechał do Krosna n/Odrą, gdzie zaczął pracować jako powiatowy inspektor rolny.

4 V 1946 WSR w Poznaniu skazał go na karę śmierci. B. Bierut (1 VI 1946) nie skorzystał z prawa łaski. Adwokat poznański, Alfred Oleksa, w podaniu z 7 VI 1946, czyli pisany już po zatwierdzeniu wyroku, wskazywał, że skazany dokonał wielu bohaterskich czynów w czasie okupacji - uruchamiał odbiorniki radiowe, uciekł z transportu do Dachau, był w 204 dywizji partyzanckiej, uwolnił więźniów w Kielcach, rozbroił 70 żołnierzy niemieckich, walczył w Górach Świętokrzyskich, a później w Lubelskiem, rozbił liczne oddziały niemieckie, wysadził w powietrze wiele pociągów, był 3 razy ciężko ranny, współdziałał z Armią Czerwoną. Miał zapatrywania demokratyczne. Odznaczony był dwukrotnie *Virtuti Militari* i sześciokrotnie Krzyżem Walecznych. „Spełniał służbiście i ze ślepym posłuszeństwem rozkazy swych fałszywych dowódców, a zwłaszcza płk. Rzewuskiego, który w więzieniu z powodu wyrzutów sumienia powiesił się”. [Płk Rzewuski, jedyny płk AK, który dał wciągnąć w tę sprawę, być może nieświadomie dał się manipulować w sprawę „Warty”, która była - to zdaje się nie ulegać wątpliwości - organizacją założoną przez służbę informacyjną. Kempieński, podobnie jak Rzewuski, padł jej ofiarą.]